Nr. 6. We Lwowie dnia 11. lutego 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Powiat trembowelski.

(Szkic geograficzno-historyczny i etnograficzny — zebrał nauczyciel ludowy Jan Aleksander Bayger — Lwów — nakładem autora 1899).

Kilka tylko prac wydał ogłoszony w r. 1893 przez Muzeum imienia Dzieduszyckich konkurs, zachęcający do opracowywania opisów poszczególnych powiatów kraju naszego. Prace te, chociaż nieliczne, cenny jednak stanowią nabytek dla literatury ludoznawczej, która u nas od niedawna dopiero coraz szersze zyskuje koło pracowników.



Widok z głębi jaru (Podgórzany koło Trembowli). Według fot. inż. Rappaporta.

Omówiliśmy już w „Tygodniu“ opis „Sokalszczyzny“ dziś przychodzi kolej na pracę o powiecie trembowelskim, napisaną przez p. Baygera.

Książka p. Baygera nie jest dziełem ściśle naukowem, jest to raczej zbiór materjałów, cenny bardzo, ale zawsze tylko zbiór, bez ostatecznych naukowych konsekwencji, które zresztą tylko w pracy o szerszym zakresie terytorjalnym mogą być wyciągnięte.

Wychodząc z tego zasadniczego stanowiska, któremu zresztą i sam autor w swojem dziele niejednokrotnie daje wyraz, uważać będziemy pracę p. Baygera tylko za produkt tego, co człowiek inteligentny, i jak się z samego dzieła okazuje, baczny obserwator, widział, czuł, i myślał, przechodząc ten bujny szmat ziemi naszej w najrozmaitszych kierunkach.

A więc zaraz u wstępu znajdujemy się na stepie ukraińskim, smętnym, jak pieśń ruskiego wieśniaka, bujnym i żyznym, wielkimi a mgławymi już wspomnieniami przepełnionym. Autor zrozumiał jego „tajemniczą mowę i szum wiatru, co nadciągnął ze wschodu, hen gdzieś z Zaporoża i Ukrainy. Jarem Dniestru i Smotrycza dotarł do Kamieńca, stąd ukradkiem Zbrucz przeskoczył, wpadł między szuwary stepu i cichym szeptem opowiada przyrodniemu bratu dolę i troski biednej Ukrainy.“ Zrozumiał także autor tęskną nutę „sopiłki“ pastucha, brzęk pszczół po futorach, słowem to wszystko, czem step skarży się i szumi.

Idąc dalej za p. Baygerem, oglądamy trembowelskie rzeki, stawy, moczary, pokłady ziemne, odczuwamy klimat, poznajemy rośliny, zwierzęta, kamienie kopalne itd. Wreszcie zajął się autor osadnictwem, podając ważny bardzo materjał surowy, mogący poniekąd posłużyć za podstawę do wyprowadzenia wniosków o po-

chodzeniu ludności tamtejszej, tj. spis charakterystycznych nazw osób, niw, lasów i jarów.

Największa część dzieła poświęconą jest, już z natury samej rzeczy, charakterystyce ludu, jego strojów, zwyczajów, obyczajów, wierzeń, zabobonów i pieśni. Znajdujemy tam wszystko, co ludu wiejskiego i mieszczan trembowelskich dotyczyć może: obok właściwości czysto i wyłącznie miejscowych, rzeczy które także i w innych stronach spotkać można, obok zwyczajów i pieśni nieznanych nigdzie indziej, bardzo wiele takich, które napotkać można na znacznem obszarze ziem polskich, jak naprzykład piosenka stara, śpiewana dawniej przez szlachcianki zaściankowe, a dziś w bardzo wielu okolicach powszechna:

Szeroka woda na Wiśle,
Powiedz mi, miły, co myślisz?
Com myślał wczoraj, to i dziś,
Taki ty moją musisz być,

albo dalsza zwrotka:

Gorzała lipa, gorzała,
Pod nią dziewczyna siedziała:
Z lipki listeczki padały
Na fartuszeczku gorzały.,.



Włościanie z Podhajczyk, Iwanówki i Iławcza.
Według fot. K. J. Strzeleckiego.

Co by można zarzucić tej części pracy, to niedostateczne wyczerpanie tak ważnych kwestji, jak pożywienie wieśniaków, narzędzi rolniczych i sposobu uprawy ziemi, gdyż nadzwyczaj cennemi byłyby w tem miejscu bliższe daty statystyczne, rysunki i t. p.

Natomiast bardzo szczegółowo i dokładnie, co za wielką należy policzyć zasługę, opisane są stroje włościan, ich chaty i obejścia, ilustrowane znaczną liczbą rysunków, szkiców i p'anów. Tem ciekawszy zaś jest ten opis, że stroje te i plany obejść, nieraz bardzo odległych czasów sięgające, zanikają coraz bardziej i ustępują miejsca nowemu krojowi i zwyczajom.

Również szczegółowo zajmuje się p. Bayger trembowelskim przemysłem domowym i drobnym i omawia poszczególne gałęzie jego jak: tkactwo, sukiennictwo, powróźnictwo, garncarstwo, a dalej podaje bardzo dokładną, na źródłach urzędowych widocznie, opartą obecną statystykę powiatu pod względem liczby ludności, instytucji społecznych filantropijnych i t. d.

Druga połowa książki p. Baygera traktuje w historyczny sposób o rozwoju Trembowli samej i miasteczek, należących do tego powiatu, jak: Budzanów, Janów i Strusów, a wreszcie regestruje pamiątki dziejowe, które się autorowi udało zwiedzić lub odnaleść. — Znajdujemy tu historję poszczególnych kościołów, cerkwi, zamków, ruin, szańców, okopów, mogił etc.

Nie jest to, ściśle rzecz biorąc, historja powiatu trembowelskiego, ile raczej zbiór dokumentów, aktów i innych źródeł historycznych, po największej części po raz pierwszy wydobytych



Chata łoszniowska (nowszej daty.) Według fot. J. Strzeleckiego.

przez autora z archiwów na światło dzienne, a związany w całość zapomocą opracowanych już dzieł. Wartość tego zbioru jest duża a podnosi ją wielka ilość fotograficznych reprodukcji rozmaitych wykopalisk, dzieł sztuki, nieraz bardzo cennych jak np. ikonostas z monasteru bazyljańskiego w Podgórzanach i inne.



Zaścinocze. Według fot. p. Błażyńskiego.

Jużto te ilustracje, które towarzyszą książce od początku aż do samego końca, a robione są na podstawie odbitek fotograficznych, zdejmowanych przez cały szereg amatorów, poczytać należy p. Baygerowi za wielką zasługę, tem większą, że koszta wydawnicze bardzo się powiększyły — a p. Bayger nauczyciel ludowy, te koszta ilustrowania dzieła poniósł z własnej kieszeni.

Koniec końców, książka p. Baygera jest bardzo cennym przyczynkiem krajoznawczym, kamyczkiem, z jakich kiedyś ułoży się wspaniała mozaika, jeden wielki, a dokładny opis wszystkiego, co się w Polsce znajduje.

F. Jaw.

Wyodrębnienie Galicji.

V.

Kto jest zainteresowany w rozwoju przemysłu i wyodrębnieniu Galicji?

Niema kraju, w którymby przemysł rozwinął się samorzutnie bez poparcia rządu. Historja przemysłowego rozwoju Francji, Anglji, Belgji, Królestwa kongresowego od 1815 do 30 r. a w końcu Węgier, w zupełności udowadnia powyższe twierdzenie.

Widzieliśmy, że rząd austrjacki nie jest przychylnie usposobiony względem ekonomicznego rozwoju Galicji. Rzecz to naturalna i zrozumiała. Przedstawiciele przemysłowych prowincji Austrji są zainteresowani w utrzymaniu przewagi ekonomicznej tych prowincji nad Galicją. W Kole polskiem żywioły te nie znajdują przeciwwagi; najpierw w Kole polskiem widzimy znaczną ilość reakcyjnych żywiołów, obawiających się ekonomicznego rozwoju Galicji, coby wytworzyło silne mieszczaństwo i proletarjat, mogące zniszczyć przewagę społeczną szlachetczyzny; powtóre dawniej członkowie Koła polskiego, będąc pozbawieni kontroli kraju, bardzo często poświęcali żywotne interesy Galicji gwoli robienia karjery osobistej, dziś zaś, któż nie wie w Wiedniu, że Koło polskie przy przeprowadzeniu legalnych wyborów może być zmniejszone do połowy; obecne moralne bankructwo Koła pozbawia tę partję siły politycznej.

Kwestja rozwoju galicyjskiego przemysłu w centralnym parlamencie ma przeciwko sobie reakcyjne żywioły Koła polskiego i przemysłowe żywioły innych prowincji. Kwestja rozwoju galicyjskiego przemysłu ma w galicyjskim sejmie przeciwne sobie tylko najbardziej reakcyjne żywioły kraju, za sobą żywioły mieszczańskie i demokratyczne.

Gdy mówią, szlachta jest zainteresowana w zatamowaniu rozwoju przemysłu, mają przed oczyma współczesnych agrarjuszy niemieckich, doświadczających w rzeczy samej braku robotnika rolnego. Ale o braku robotnika rolnego nie może być mowy w Galicji, przeludnionej i liczącej najbardziej gęstą ludność rolniczą.

Każdy szlachcic chciałby, żeby przez jego wieś przechodziła kolej żelazna, każdy właści-

ciel wsi, każdy chłop także jest zainteresowany w tem, by w pobliżu powstawały centra przemysłowe i wzrastały miasta, gdyż to ułatwia zbyt produktów rolnych.

Rozwój cukrownictwa, gorzelnictwa, fabryk lnu itp. leży w interesie ludności wiejskiej.

Rolnictwo tam tylko czyni postępy, gdzie jest związane z przemysłem.

Kwestja polityki przemysłowej w sejmie o rozszerzonej kompetencji ekonomicznej musi odbierać z obozu szlacheckiego najbardziej dzielne pod względem ekonomicznym, najbardziej zasobne w kapitał żywioły.

Przemysł stwarza podstawy ekonomiczne dla drobnej własności, przeciwdziała proszkowaniu się gruntów przez pozostawianie na ziemi wszystkich dorosłych synów chłopskich, gdyż daje bardziej energicznym z nich lepsze widoki materjalnego istnienia w mieście, przemysł daje też tymczasowe zarobki chłopom, dostarczającym podwody, zbywającym swe produkty na fabrykach.

Olbrzymia różnica w położeniu materjalnem chłopa w Królestwie na lewym, przemysłowym i na prawym ekonomicznie zacofanym brzegu Wisły dostarcza dowodów, jakie olbrzymie ma znaczenie dla włościaństwa przemysłowy rozwój kraju.

Rozwój przemysłu przez długi czas nie zmniejsza, lecz zwiększa ilość drobnego mieszczaństwa. Rozwój przemysłu Galicji nie naruszył by przez długi czas interesów drobnego mieszczaństwa, dziś uciskanego ekonomicznie przez wielkie mieszczaństwo innych prowincji.

Dzisiejsi kupcy galicyjscy nie są najczęściej samodzielnymi handlarzami, ale przekupniami wielkich firm wiedeńskich, udzielających im kredytu i towaru w komis. Szczególniej to się odnosi do kupców żydowskich, którzy są wobec tego z Wiedniem związani i dla nich zmiana stosunków Galicji do Austrji na razie mogła by nie być pożądaną, gdyż stworzyłaby odmienne konjunktury handlowe od dziś istniejących, musiała by przenieść handel Galicji na nowe tory, stworzyć pewną organizację handlową polskiego mieszczaństwa, które to wskutek tego musi być zainteresowane w wyodrębnieniu Galicji.

W rozwoju przemysłu Galicji zarówno jest zainteresowany proletarjat, jak i mieszczaństwo. Obecnie istnieje emigracja robotnicza z krajów, bardziej zacofanych pod względem ekonomicznym, do krajów bardziej rozwiniętych, gdyż przemysłowy rozwój krajów idzie w parze z polepszeniem się zarobków robotniczych. Zarobki te nie zależą wprawdzie wyłącznie od stopnia przemysłowego rozwoju kraju, ale i od siły odporności klasy robotniczej, od warunków, sprzyjających rozwojowi tej siły lub ją rozpraszającej, w każdym razie możemy twierdzić śmiało, że tam, gdzie przemysł się nie rozwija, niema warunków dla skuteczności tej siły.

Rozwój przemysłu zwiększa siłę liczebną klasy robotniczej i jest warunkiem wogóle kulturalnego rozwoju kraju; bez tego kulturalnego rozwoju kraju niemożliwem jest osiągnięcie bliższych i dalszych celów proletarjatu.

Przemysł stwarza zastępy inteligencji znacznie mniej materjalnie zależnej od rządu, niż klasa urzędnicza. Brak samodzielności politycznej, t. z. demokracji galicyjskiej, jest spowodowany zależnością ekonomiczną galicyjskiej inteligencji, składającej się przeważnie z c. k. urzędników.

Rozwój przemysłu i wymiany stwarza zapotrzebowanie elementarnych wiadomości. To zapotrzebowanie jest niekiedy ważniejsze od szkolnictwa w kraju; niema nigdzie gorszych szkół, oraz tak niedostatecznej ich ilości, jak w Królestwie, a jednak chłopi Królestwa z lewego brzegu Wisły są tam bardziej czytelni i piśmienni, niż chłopi Galicji. Potrzeby obrotu handlowego zmuszają tam chłopa do uczenia swoich dzieci czytania, pisania i rachunków. Szkoła nie daje im tych wiadomości, więc uczą swe dzieci prywatnie.

Niech przeciwnicy wyodrębnienia Galicji udowodnią, *że rozwój przemysłu nie posiada kulturalnego znaczenia*, niech udowodnią, *że siły społeczne, stojące poza Galicją, są bardziej zainteresowane w rozwoju przemysłu Galicji*, niż *olbrzymia większość mieszkańców tego kraju*, w takim razie udowodnią nam, że demokratyczne partje nie powinny stawiać w swym programie wyodrębnienia Galicji.

Wład. Studnicki.

WASYL STEFANYK.

Kamienny krzyż.

I.

Odkąd Iwana Diducha zapamiętali we wsi gazdą — miał zawsze jednego tylko konia i mały wózek z dębowym dyszlem. Szkapę do niego zaprzęgał z lewej, siebie z prawej strony. Koń miał rzemienną szliję i naszyjnik, na siebie Iwan zawdziewał szliję prostszą, z powroza. Naszyjnika zaś nie potrzebował, bo lewą ręką hamował może lepiej, niż koń naszyjnikiem.

Jak zwozili zboże z pola, albo wywozili gnój, to jednako szkapie i na Iwanie żyły nabrzmiewały, jednako im obu pod górę postronki wyciągały się, jak struny i jednako też z góry włóczyli się po ziemi.

Do góry koń lazł, jak po lodzie, a Iwana, jakby kto drągiem przez czoło zawalił, taka wielka rdzawa żyła mu wyskakiwała. Gdy zaś zjeżdżali z góry, to koń wyglądał, jakby go Iwan powiesił na naszyjniku za jakąś wielką zbrodnię, a lewa ręka Iwana obwijała się dookoła siecią sinych żył, kieby łańcuchem z siwej stali.

Nieraz rankiem, jeszcze przed wschodem słonka, jechał Iwan w pole polną drożyną. Szliji nie miał zawdzianej, jeno szedł z prawej strony i trzymał dyszel pod pachą. I koń i chłop trzymali się rzetelnie, bo obaj dobrze wypoczęli przez noc.

Więc, jak im się zdarzyło schodzić z góry, — biegli... Trza bowiem było i koniowi jego końską wolę ostawić. Biegli na dół, zostawiając za sobą ślady kół, kopyt wązkich i szerokich pięt. Przydrożne zioła i badyle chwiały się i kołapały, a kołysząc się za wozem na wszystkie strony, strząsały na wyciśnięte ślady białą rosę, poranną, czystą.

Ale czasem, wśród największego rozpędu, akuratnie w połowie góry, Iwan poczynał utykać i hamował konia. Siadał przy drodze, brał nogę jedną w obie ręce i ślinił, żeby znaleść owo miejsce, gdzie się cierniak wbił. — Ta tę nogę motyką skrobać! A nie, żebyś ją śliną przemył... — wyrywało się Iwanowi z pod serca.

— Didu Iwanie, a batogiem tego z prawej, niech leci, kiedy owies żre... — pokpiwał ktoś, widząc go u swojego zagonu.

Ale Iwan dawno już przywykł do takich drwin i spokojnie wyciągał cierniak dalej.

Nie mógł go wyjąć, to kułakiem wbijał dalej w nogę i, wstając, mówił: — Nie bój się, wygnijesz i sam wylecisz... A ja tu nie mam czasu z tobą się ciaćkać.

Nazywali go we wsi Przełamanym. Miał w pasie f e l e r i przez to zawsze chodził nieco schylony, jakby dwa żelazne haki ściągnęły kadłub do nóg.

Zawiało go raz. Nieszczęście nie trafi szczęśliwego — to już darmo!

Jak wrócił od wojska do domu, to nie zastał już ani ojca, ani matki (musieli pomrzeć z frasunku o niego), jeno chałupę zawaloną.

Całego zaś majątku zostawił mu ojciec kawał pagóra najwyższego i najgorszego w całej wsi. Na wzgórzu tem kopały baby piasek od wieki wieków; rozkopanymi ziewało jarami prosto w niebiosa, jakoby potwór jaki straszny. Nikt tej pustki nie orał, ani nie obsiewał i znaku miedzy jakiejś nie było.

Ale Iwan uwziął się na ten pagór przeklęty. Obaj z koniem dowozili gnój pod wierch, a Iwan sam już wynosił go we worku na górę.

Czasem na niższe pola zlatywał z góry głośny krzyk Iwana, klątwy serdeczne:

— Ech, mój ty, jak tobą rznę, to się na nic rozlecisz... Boś też ciężki, aj ciężki! Ani cie ruszyć...

Ale nigdy nim nie rznął — szkoda mu było gnoju rozsypywać — lecz spuszczał go powoli z pleców na ziemię.

A raz wieczór opowiadał babie i dzieciom taką przygodę:

— Słonko praży, ale nie praży, aż ogniem sypie! A ja sie drapię z gnojem na wierch, aż skóra z kolan złazi. Pot leje się z każdego włoska, a tak mi w gębie słono, że aże gorzko. Ledwiem dotarł na tę górę nieszczęsną. A tu taki wiaterek dmuchnął na mnie, ale to taki leciutki, że aż!.. A popatrzcie się, jak mnie za niedużą chwilkę zaczęło w poprzek nożami dźgać... Myślałech, że tam padnę.

Od tej przygody chodził Iwan zawsze zgięty w pasie, a ludziska nazwali go Przełamanym.

Ale chociaż ten pagór go przełamał, to Iwan nie chował żalu do niego, bo się za to odpłacał plonami — z roku na rok. I Iwan wierzył mu i zaufał święcie, że się z czasem doznaku wypłaci. Ale mu spokoju nie dawał. Bił pale, wbijał koły, wynosił na plecach darń i obkładał tę cząstkę swoją dookoła, aby jesienne i wiosenne deszcze nie spłukiwały gnoju i nie zanosiły go w jary i debrze; a on go tak ciężko, nie letko, tu wywłóczył.

Wiek cały swój zbył on na tym garbie przeklętym.

Im starszym był, tem cięższej mu było połamanemu schodzić z góry.

— Taki psi garb, że na pysk chce człowieka w dolinę strącić.

Nieraz, jak słońce, zachodząc, zastało Iwana na wierzchu, to niosło jego cień razem z garbem daleko na pole. Po tych polach włóczył się cień Iwana, niby jakiegoś wielkoluda, zgiętego w pasie. Wtedy chłop pokazywał palcem swój daleki cień i mówił pagórowi:

— A toś mnie, nieboże, wyrychtował! Ale dopokąd mnie nogi noszą po tej świętej ziemi, ty musisz rodzić chleb... Nic nie pomoże. Nie będziesz za darmo jadł słoneczka, pił deszczu — o nie!

Na drugim gruncie, który Iwan kupił za pieniądze, przyniesione z wojska, pracowała jego baba i dzieci. Iwan najwięcej i prawie jedynie kręcił się koło pagóra tego nieszczęsnego, aż go zmógł i przymusił do rodzenia zboża — gwałtem przymusił.

Znany był Iwan jeszcze we wsi Iwan i z tego, że do cerkwi chodził jeno raz na rok, na Wielkanoc, i że „gzycyrował“ kury. I tak je ponauczał, że żadna nie ważyła się stąpić na podwórze i grzebać w gnoju. Która tylko raz łapką drapnęła, zaraz na miejscu padła od łopaty, albo od kija. Choćby się Iwanicha krzyżem kładła, prosząc, nic nie pomogło.

Trzymało się i to Iwana, że nigdy nie chciał jeść przy stole. Zawdy na ławie.

— Sługowałech za młodu u ludzi, — powiadał — a później przy tem wojsku coś bez dziesięć roków, tom stołu nie znał i przy stole jedzenie żadną miarą nie idzie mi do smaku.

Taki był już dziwaczny ten Iwan i z natury i ze wszystkiego. (C. d. n.)

Ubiory ludowe.

Komisja antropologiczna krak. Akademji umiejętności ogłasza odezwę następującą w sprawie ubiorów ludu naszego.

„Zachował lud nasz jeszcze wiele przeżytków dawnej przeszłości, a między nimi i barwne, często typowe, a dla nauki niezmiernie ciekawe stroje. Smutna to jednak prawda, że nietylko nie posiadamy wydawnictwa, obejmującego w dobrych reprodukcjach kroju, barw, wyszyć i ozdób, ale nie mamy nawet świadomości tego, co i w jakiej mierze zachowuje się dotąd powszechnie, a co tylko podczas uroczystości, dlaczego dawne ubiory giną i od jak dawna. A tymczasem niwelujący wszystko prąd cywilizacyjny posuwa się zwycięsko naprzód, i poczynając od nakrycia głowy, sięga obuwia, zmienia poważną sukmanę lub płótniankę i gunię na kusy bawełniany kubrak, odziewa nawet wieśniaka, zamiast w lniane, domowe i trwałe płótno, w fabryczną i lichą, ale bielszą tkaninę. Słowem — giną ubiory ludowe, a poczyna panować szara tandeta.

Co ginie w życiu, mamy obowiązek zachować przynajmniej w dziełach i zbiorach muzealnych. Komisja antropologiczna Akademji umiejętności w Krakowie, nie mając środków na założenie muzeum etnograficznego, posiada jednak z darów osób łaskawych piękny zbiór fotografji ubiorów ludowych, bądź zwykłych, bądź kolorowanych. Fotografje te jednak przedstawiają przeważnie lud podolski, pokucki lub huculski, w małej tylko liczbie krakowski, z innych zaś stron niema ani jednego wizerunku.

Celem dopełnienia tego zbioru i zgromadzenia materjału do wydawnictwa naukowego, zwraca się niniejszem komisja do wszystkich jej życzliwych a ludem zajmujących się ziomków, szczególniej do amatorów fotografji, z uprzejmą prośbą, aby jej nadesłać raczyli ze wsi lub miasteczka, przez siebie zamieszkanego lub sobie znanego: 1) fotografje ubiorów ludu (grupy lub jednostki, męskie i żeńskie), albo nawet części ubioru, o ile możności, stosownie i wiernie kolorowane, w formacie gabinetowym (12×16 ctm.); 2) w razie nieumiejętności kolorowania, o dołączenie do zwykłej fotografji dokładnego opisu co do barw; 3) w obu razach na osobnej karcie nazwy ubioru i jego części, materjał, sposób wyrobu lub miejsce zakupna i wyszczególnienie różnic między ubiorem codziennym a świątecznym lub obrzędowym, między letnim a zimowym, ewentualnie różnic stanowych; 4) wymienienie tych wsi okolicznych, w których ten ubiór noszą. Dary, których przesyłkę komisja chętnie opłaci, prosimy nadsyłać

pod adresem komisji antropologicznej Akademji umiejętności w Krakowie na ręce prof. Romana Zawilińskiego.

Podając odezwę powyższą, jedno z pism warszawskich wyraża wątpliwość, czy próba Akademji odbije się jakiemkolwiek echem. Autor notatki z własnej praktyki przytacza fakt, że w trzech powiatach lubelskiej gubernji nie było ani amatora, ani jednego zawodowego fotografa, któryby miał ochotę utrwalić na kliszy postaci ludowe, pamiątki historyczne lub wybitniejsze miejscowości tego kawałka kraju. Do „Wycieczek po kraju“ trzeba używać starych klisz, nieodpowiadających dzisiejszej rzeczywistości; bogate warszawskie Muzeum etnograficzne nie posiada prawie zupełnie fotografij etnograficznych. Nasza fotografja amatorska jest dziwnie bezmyślna, konkluduje autor. Fotografujemy najchętniej siebie samych, później jakąś „majówkę“, ulubionego psa i konia, wreszcie lasek pobliski. Na tem się pomysłowość wyczerpuje.

Z tanich wydawnictw.

2) („Biblioteka dzieł wyborowych“. Warszawa. Nakład Granowskiego i Sikorskiego).

Dział arcydzieł z literatur obcych, licznie w ogóle w Bibliotece zastąpiony, w ostatnich czasach reprezentowało nowe zupełnie wydanie „Don Kiszota“, który zajął sześć tomów z rzędu.

Genialny ten humorystyczny utwór literatury hiszpańskiej znany jest u nas niemal wyłącznie ze streszczeń, wyjątków, lub nawet tylko cytatów literackich, a jedyne — o ile pamiętam — kompletne wydanie polskie tak zostało wyczerpane, że mało kto ma u nas dokładne wyobrażenie o słynnem dziele Cervantesa.

Teraz staje więc ono ponownie przed polskim czytelnikiem z całym swoim zasobem nieśmiertelnych typowych postaci i wydarzeń, z całym ich komizmem i gryzącą satyrą, jakie, o czem znający „Don Kiszota“ ze streszczeń nie wiedzą, dość często przeplatają sielankowo sentymentalne ustępy, z za których tem wypuklej i charakterystyczniej występują i chudy i długi „rycerz smętnego oblicza“ i jego giermek, krótki a pękaty Sanszo Pansa.

Prócz prostej, bezpośredniej przyjemności z czytania zajmującej fabuły, jakiej ciągle jeszcze „Don Kiszot“ ludziom dostarczyć jest w stanie, tworzy on bardzo żywotny i bardzo łatwy przedmiot do badania pewnych tajników twórczości artystycznej.

Jak wiadomo bowiem „Don Kiszot“ składa się z dwóch części, z których druga napisaną została wiele lat po pierwszej, a napisał ją Cervantes podrażniony wystąpieniem jakiegoś plagjatora, który, zachęcony powodzeniem utworu Cervantesa, usiłował podrobić część jego drugą. A stało się tym razem, że Cervantes przez te lata, wzorem tylu innych autorów, rozkochał się w stworzonej przez siebie samego postaci i stąd część druga ma widocznie odmienne tło i koloryt, niż pierwsza.

W pierwszej „Don Kiszot“ jest głupcem i warjatem, nad którym sam autor dość naznęcać się nie może, to też obfituje ona w słynne i dziś na całym świecie przysłowiowe sceny, jak przygoda z wiatrakami, przygoda z baranami, list do prostej dziewki wiejskiej, którą tylko rycerz ochrzcił Dulcyneą z Tobozo i mianował panią swego serca.

W drugiej już tylko jedna scena w teatrze marjonetek przypomina nastrój części poprzedniej, natomiast tutaj „Don Kiszot“ przeradza się w pewnego rodzaju filozofa - idealistę, śmiesznego nie tyle dla czytelnika, co dla niemogącego zrozumieć go poziomego otoczenia, zaś Szanso Pansa z brutalnego gbura w trzeźwego satyryka, który bawi drwinami z siebie, z pana i z otoczenia. Nawet o Dulcynei autor zapomniał, że na początku powieści kazał jej być rzeczywistą dziewką wiejską, lecz w drugiej części zmienił ją w poetycką fikcję, utwór wyobraźni, który żył, jako uosobienie wszystkich doskonałości kobiecych jedynie w mózgu błędnego rycerza. Część pierwsza to gryząca satyra na zgubny wpływ fantastycznych romansów rycerskich, które pomieszały w głowie „rycerzowi z Manszy“, w części drugiej przebija się natomiast jakby pierwszy ślad żalu za zanikającą, chociażby nawet nieco śmieszną, rycerskością. Chełpliwy, a jednak trochę tchórzliwy „Don Kiszot“ części pierwszej, w drugiej budzi czasami podziw istotną swą odwagą, kiedy n.p. każe otworzyć klatkę lwią i czeka, aż lew wyjdzie z nim walczyć. W zakończeniu zaś, kiedy pokonany w walce, musi przyrzec, że na rok wyrzeknie się rycerstwa, w przekonaniu, iż utracił przez to honor rycerski, umiera z rozpaczy, robi istotnie silne, tragiczne wrażenie....

Z działu popularnie naukowego wymienimy dla przykładu jedną tylko książkę, która niedawno właśnie temu w „Bibljotece“ się ukazała, a aktualnością swoją, ze względu na toczącą się w południowej Afryce wojnę, powinna wzbudzić jak najszersze zainteresowanie. Jestto przekład dziełka niemieckiego autora A. Seidla, pt. „Transwaal i Boerowie“. Książka w oryginale wyszła

dopiero w roku zeszłym, jest więc, można powiedzieć, najświeższą pracą o Transwaalu, a jak autor przedmowy, nasz znakomity uczony, Dr. Juljan Ochorowicz, w przedmowie zapewnia, równocześnie może rościć sobie prawo do nazwy najlepszej pracy o tym kraju. Dla publiczności zaś naszej, która z braku odpowiednich dzieł, w razie jakichś konfliktów międzynarodowych, w sympatjach swych kieruje się mniej racjonalnymi powodami, a więcej przypadkiem, nadarza się z wydaniem tej książki sposobność gruntowniejszego poznania jednego z dwu afrykańskich zapaśników.

Osobno i z szczególnym naciskiem chcielibyśmy wspomnieć o jednem dziele, ukazującem się w „Bibljotece dzieł wyborowych“, które nadaje jej szczególniejsze, wprost doniosłe znaczenie. Jest to „Historja literatury polskiej“ Piotra Chmielowskiego, która w komplecie — o ile pamiętam — wynosić będzie sześć tomów, niemal podwójnej, w porównaniu ze zwykłymi tomami „Bibljoteki“, objętości.

„Historja literatury“, stanowiąca istotną część „Bibljoteki“, będzie równocześnie pewnego rodzaju premjum dla jej prenumeratorów. To znaczy, że pojedyńczo nie będzie jej można kupować, jak inne tomiki, po 30 ct., ale że ci, którzy „Bibljotekę“ zaprenumerują na dłuższy czas, będą otrzymywali dzieło Chmielowskiego bez żadnej dopłaty, jako zwykłe, tygodniowe numera wydawnictwa, natomiast w handlu księgarskim będzie ono kosztować po 2 złr. 50 ct. za tom, co wcale nie jest zbyt wygórowaną ceną wobec literackiej wartości i wprost ozdobności dzieła. W ten sposób zaprenumerowawszy „Bibljotekę“ na rok za cenę niższą, niż cena samej „Historji literatury“, bo za 14 złr. otrzyma się ją i nadto przeszło 40 innych tomów.

Dotychczas nie mieliśmy w polskim języku historji naszej literatury, którąby, obejmując jej całokształt, doprowadzona była do ostatnich czasów, nadto traktowała rzecz na podstawie najnowszych badań i dla dojrzałego umysłu dawała dostatecznie wypukły, a dostatecznie jasny i obszerny obraz tego, co duch polski kiedykolwiek na polu literatury wytworzył. Wszystko, cośmy z tego rodzaju mieli, były to książki albo zbyt ciężko naukowe, albo zbyt nieudolne, albo zbyt pobieżne, albo niedokończone, a najczęściej zwykłe podręczniki szkolne. Ważną tę, dotkliwą lukę, wypełni dzieło Chmielowskiego, a cokolwiekby jego przeciwnicy — przeważnie polityczni — mogliby mu, jako autorowi, zarzucić, to jednak nawet oni zaprzeczyć nie są w stanie, że Chmielowski, to jedyny umysł w Polsce, który do takiego przedsięwzięcia literackiego się nadawał. Kwalifikuje go do tego wprost niesłychana, bajeczna niemal znajomość całego materjału, krytycyzm, oświetlający każdy szczegół dokładnie i niepozwalający na żadne fantastyczne zboczenia, wreszcie umiejętność treściwego wyrażania się, które nieraz stronicę całą innych autorów w jednem zdaniu zamknąć potrafi, przy wielkiej żywości stylu.

Tekst objaśniają liczne portrety, faksymilja kolorowane dawnych rękopisów, podobizny starych druków, autografy, tablice i t. p., tak, że będzie to książka, której nam nawet niejeden obcy i zasobniejszy naród będzie mógł pozazdrościć.

Tych kilka przykładów, któreśmy przytoczyli, przekonać już musiały czytelników, że wcale nie przesadzimy, powiadając, że „Bibljoteka wyborowych“ utworów jest istotnie wyborową i że zachęcenie do jej prenumerowania nie będzie reklamą, ale oddaniem jej należnej słuszności. *W. Dbr.*

Z pism i książek.

Pisma Ignacego Dąbrowskiego. Warszawa, księgarnia Fiszera. W pierwszem zbiorowem wydaniu ukazały się utwory I. Dąbrowskiego, którego „Śmierć“, przed kilku laty wydana, zrobiła ogromne wrażenie i dużem cieszyła się powodzeniem. Największą zaletą „Śmierci“ jest to, że łączy ona nawskróś realistycznie ujęty temat z ogromnym, niewyczerpanym zasobem poezji i idealnych czynników. Organiczne powiązanie tych obu — na oko sprzecznych pierwiastków — charakteryzuje najcelniejsze dzieła ostatnich czasów i ono to zapewniło książce Dąbrowskiego trwałe miejsce w literaturze naszej. W „Śmierci“ dochodzi Dąbrowski do mistrzowstwa w osiąganiu wielkich efektów za pomocą małych i prostych środków. Jedna z najpiękniejszych scen — opis spowiedzi suchotnika — daje miarę tego, ile treści potrafi autor zamknąć w krótkich, nieskomplikowanych zdaniach. „Kapłan powiedział: „mój synu!“ — A ja zacząłem płakać i strasznie płakałem. Potem mówiłem wszystko., Skarżyłem się na życie moje całe, — na nędzę, jaką cierpiałem, — na głód, co mi dokuczał nieraz, — na siebie, żem życie zmarnował... A on mnie w głowę całował i mówił, że mi wszystko wybaczonem będzie, bom się tutaj namęczył... Sam mu wyznałem moją niewiarę... On mi Chrystusa wskazał na krzyżu i pytał, czy go kocham w tej chwili. Tak — odpowiedziałem — bo cierpiał tyle“...

Nowela „Felka“, drukowana swego czasu w odcinku „Kur. Warsz.“ nie może się równać ze „Śmiercią“ pod żadnym względem. Jest to w formie listów opowiedziana historja szwaczki, jednej z tych, o których wyraził się w przedmowie A. Niemojewski, że są po to, by się miało gdzie „wyszumieć młode piwo kawalerskie, aby potem dało możność jakiej Felce z pierwszego piętra spełnić misję kapłaństwa macierzyńskiego przy ognisku domowem“. — Wydanie staranne. —

Z „Drukarni Udziałowej“ we Lwowie, ul. Lindego 8.